

W podwójnej służbie

Zanim jeszcze na szedł rok 1948 i pan Jerzy Giedroyc, naczelny redaktor i wydawca paryskiej „Kultury” mógł oświadczyć w pierwszym numerze miesięcznika że będzie on walczył o „nową i zjednoczoną Europę”, było już w życiu tego człowieka wiele momentów — które przyczyniły się do tego, iż „Kultura” — parafrazując słowa piosenki — jest taka, jaka jest. U podstaw politycznej działalności Giedroycia, była rozpoczęta w latach trzydziestych służba dla II oddziału Polskiego Sztabu Głównego, polegająca na infiltrowaniu, pod kątem walki z lewicą środowisk inteligentnych, a zwłaszcza prasy — Giedroyc był pionierem i namientnym zwolennikiem stosowania w pracy „dwójkar skiej”, bardziej no wczesnych „socio logicznych” me tod działania. Ta miłość do zupełnie zresztą swoiście po jętej „socjologii”, pozostała Giedroycowi także dziś. Gdy jego „Kultura” organi zuje różne akcje z zakresu dywersji ideologicznej ich głównym mentorem jest prof. Zbigniew Brzeziński, czołowy antykomunistyczny socjolog amerykański, dyrektor Instytutu Badawczego Spraw Komunizmu na Uniwersytecie Columbia.

Pan Giedroyc uzyskał fundusze na wydawanie swego miesięcznika ze środków finansowych, jakie pozostały po rozwiązaniu II Korpusu Polskiego we Włoszech. Samo uzyskanie tych funduszy miało aspekt także i kryminalny; m. in. Giedroyc zagarnął pieniądze, przeznaczone na pomoc dla zdemobilizowa nych żołnierzy oraz inwalidów walk z hitlerowcami pod Monte Cassino, Anconą i Bolonią. Wypominają mu to po dziś dzień wychodzące w Anglii, Kanadzie, Australii, Brazylii, Argentynie biuletyny różnych kom batanckich stowarzyszeń, skupiają cych b. żołnierzy i oficerów II Korpusu.

Pan Giedroyc nie potrzebował zresztą zbyt długo korzystać tylko z przywłaszczonych pieniędzy, jakie pozostały po II Korpusie.

Gdy tylko w 1949 roku nad Euro pą Zachodnią powiały mocniej wia try „zimnej wojny”, „Kultura” pa ryska zaczęła otrzymywać dotacje od różnych amerykańskich ośrodków „badania komunizmu”, związa nych z CIA^{*)}. Począwszy od 1960 roku coraz większy, obecnie już wiodący udział w finansowaniu dzie lałności pana Giedroycia posiadała rewizjonistyczna i antypolskie ośrodki w NRF, a wśród nich tzw. „ziomkostwa” przesiedleńców. Ła czy się to z bardzo aktywną dzie lałnością dywersyjną „Kultury” na rzecz zachodniomemieckiego rewiz jonizmu z jej podwójną służbą; CIA oraz rewizjonizmowi NRF.

Fakt, że pan Giedroyc czerpie środki finansowe od rewizjonistycz nych ziomkostw zachodniomemiecc kich, z którymi „Kultura” paryska pozostaje w bardzo ścisłych kontak tach, wywołało oburzenie w róż nych kołach emigracji polskiej, skąd inąd nastawionej negatywnie do PRL. I tak atakował za to Gie droycia w latach 1966—67 miesięcz nik „Horyzonty” wydawany przez epigonów Stronnictwa Narodowego. Z ostrą krytyką skrajnie filonie mieckiej postawy paryskiej „Kultu ry”, występowało nieraz Stowarzy szenie Kombatanów Polskich w Wielkiej Brytanii dając temu wy raz na łamach „Dziennika Polskiego” i „Dziennika Żołnierza” zwłaszcza w okresie rocznic Powstania War szawskiego i kampanii wrześnio wej.

Pan Giedroyc i jego „Kultura” ok reślili się sami najlepiej zadając... wyposażenia Bundeswehry w broń termojądrową. W pierwszej linii należałoby upełnoletnić Niemcy w dziedzinie atomowej — czytamy w numerze I „Kultury” z 1966 roku. Jasnym jest chyba że dla milita ry stycznych i rewizjonistycznych kół w NRF takie oświadczenie, wydru kowane w piśmie, które na Zachodzie jest uważane za „polskie” ma szczególną wartość. Trzy lata wcze śniej, nim na łamach paryskiej „Kultury” pojawił się postulat: „da dajac uzbrojenia Bundeswehry w broń termojądrową, miesięcznik Je rzego Giedroycia oświadczył raz jeszcze, że jest przeciwny pozosta

niu przy Polsce i jej obecnych Ziemi Zachodnich (nr 5 z 1963 r.). Konsek wentnie natomiast głosi się w „Kul turze” koncepcję zjednoczenia Eu ropy pod hegemonią Niemiec oraz „proponuje” Polakom stosowanie „polityki wyrzeczeń” wobec NRF. Oczywiście, przedmiotem tych wy rzeczeń mają być Polskie Ziemi Zachodnie, co podkreślał wyraźnie specjalny artykuł na ten temat — który ukazał się w 6 numerze „Kul tury” z 1966 r. Ostatnio pojawia się na łamach „Kultury” nowa fala artykułów zawierających propozycje „polityki wyrzeczeń”. Szczególną ak tywność w tej dziedzinie wykazuje pan Juliusz Mieroszewski, główny publicysta „Kultury” p'sujący rów nież pod pseudoni mem „Londyńczyk” Mieroszew ski, który w II Korpusie był współ pracownikiem „dwójki”, pocho dzi ze śląskiej rod ziny, która je szcze przed 1918 r. kolaborowała z Niemcami. Dziś „Londyńczyk” jest w „Kulturze” pa ry skiej czołowym przedstawicielem prądu filoniemieckiego.

Problematyka radziecka zajmuje wiele miejsca zarówno w publicy styce politycznej samej „Kultury” jak i wydawnictwach książkowych jej Instytutu Literackiego oraz w pu blikacjach, ukazujących się na łamach „Zeszytów Historycznych”, któ rym również szefuje pan Giedroyc. Ujmowana jest ona w dwóch aspek tach; aktualno-socjologicznym i hi storycznym, zresztą oba ujęcia są na sycone treścią odpowiadającą politycz nym interesom mocodawców pana Giedroycia.

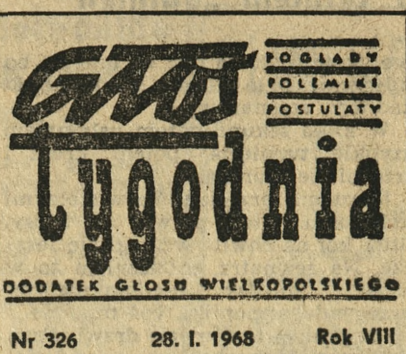
Jeśli chodzi o aspekt historyczny to bardzo poważne miejsce zajmuje tu apologetyka ruchu włosowskiego. Instytut Literacki „Kulturę” wydał nawet w swoim czasie grubą książkę „Kontra” Józefa Mackiewicza, która miała dorobić zdradzieckiej włosowszczyzny „bohaterską legen dę”. Dziś w związku z urzędzami na Zachodzie wielkimi obchodami 25 rocznicy utworzenia Ukraińskiej Powstańczej Armii (UPA), które in spiruje Bundeswehra, „Kultura” bar dzo aktywnie podejmuje i ten pro blem. Jej redaktorzy doszukują się „ideowej wspólnoty” z „rycerzami tryzuba”. Warto tu dodać, że w In stytucie Literackim „Kulturę” ukaza ła się książka „Terror i rewolucja” napisana przez Borysa Lewickiego,

Dokończenie na str. 2

Felleton z liczydłem

Wszystko co nie jest arcydziełem, jest chałgą. Takie stwierdzenie rozpowszechniło się ostatnio w życiu kulturalnym Francji i wielu innych krajów — pisze „Przekrój” z 7 stycznia. Zamiłki zupełnie średni sukces. Powieść, spektakl, film, czy wystawa — albo zdobywają oszałamiające powodzenie, albo kładą się na łopatki. Oczywiście, warto by wiedzieć, jakie są proporcje arcydzieł i chałg, bo dopiero wówczas byłoby wiadomo — ileć czy radości o tworzyć tamy. Można tu wskazać pokusić się o wniosek, że skoro trudno uzyskać sukces — choćby średniego — to najui doczniej twórczość owa nie od powiada aktualnym, określonym potrzebom społecznym. A może to rezultat zbłądowania krytyków i recenzentów? Może wynik zmanierowania tych konsumentów sztuki, których zdanie jedy nie się liczy?

Trudno dociec, czy tak jest w istocie. Jednakże, gdy rozszerzyć obserwację na inne jeszcze dzied ziny okaże się, że wspomniane zjawisko nie jest wyjątkowością życia kulturalnego, ani też nie ma ściśle określonych granic te rytoryalnych. Przecież i w naszym kraju trudniej dziś sprze dać chałgę, wmówić ludziom, że powinni oglądać kiepskie sztuki czy kupować książki — cegły, tyl ko dlatego, że je wydrukowano. Jest wprawdzie jeszcze nieco popytu na produkty przeciętne, ale i jemu nie można wróżyć dlu giego życia. Minęły bowiem czasy bezkrytycznej konieczności przyjmowania każdej oferty, choćby od największego partacza. Współczesne społeczeństwo, prze szedłszy okres powojennego nie



Jutro rozpocznie w Warszawie o brady IV Zjazd Związku Młodzieży Socjalistycznej. Jest to dobra okazja do przypomnie nia najbardziej charakterystycz nych poczyną tej organizacji. Czym zajmuje się ZMS? Czym powinien się zajmować?

Łatwiej byłoby odpowiedzieć na py tanie czym ZMS się nie zajmuje. Bo przecież jest w tej działalności miejsce na bardzo szeroko pojętą dzie lałność ideowo-wychowawczą, na szkolenie, na przedsięwzięcia kultural ne, na sport, turystykę i życie obozo we, a dalej na udzielanie się młodzieży w realizacji zadań produkcyjnych, na spełnianie przez ZMS roli współgo spodarza zakładu, na obronę intere sów młodzieży pracującej, na sprawy socjalno-bytowe młodzieży, na ochot nicze hufce pracy. A więc działalność bardzo wszechstronna, działalność na rzecz wszystkich spraw dotyczących młodzieży i — co trzeba bardzo moc no podkreślić — działalność na rzecz całej młodzieży, nie tylko zrzeszo nej w ZMS.

Omówienie choćby pobieżne, tylu różnych kierunków działania, nie jest możliwe. Skoncentrujemy się więc na tym, co w działaniu wielkopolskiej organizacji ZMS jest najbar dziej charakterystyczne. Otóż w Po znańskim bardzo mocno akcentuje się od lat sprawę dokształcania i sta łego podnoszenia kwalifikacji młodzi przy pracującej. ZMS widzi tu wy raźnie swoją rolę w wielkim dziele całego narodu — podnoszeniu wy dańności pracy i poprawy jakości produkcji, na bazie najnowszej tech niki jako podstawowych warunków przekształcenia naszego państwa w silny, nowoczesny, bogaty organizm. Wydajność pracy zaś jest tym wyż szą, im wyższy poziom pracujących, im, wyższy stopień ich wiedzy i przy gotowania zawodowego. Wtedy bę dzie mniej marnotrawstwa, a więc dzie usprawnień i pomysłów racjonalizatorskich oraz — co bardzo ważne — większa świadomość zadań.

Jest to kierunek działania nie ty lko najbardziej słuszny, ale i spoty kający się z dużym zrozumieniem młodzieży. Nie przypadkowo w na szej dyskusji pt. „Młodzi — Nowo cześni”, prowadzonej wspólnie z ZW ZMS, tak często dyskutanci mówią o wiedzy jako o jednej z głównych cech człowieka nowoczesnego.

Na tym polu ZMS robi dużo. Kry tycznie przygląda się zakładowym

W stronę całej młodzieży

Jutro IV Zjazd ZMS

planom szkolenia, niektóre z nich o cenia bardzo surowo jako opracowy wane pobieżnie, bez analizy konkretnej sytuacji, bez skoordynowania z planami produkcyjnymi. Rekrutacja do szkół jest często przypadkowa. ZMS uważa, że należy położyć więk szy nacisk na prowadzenie właściwej popularyzacji dokształcania wśród wyróżniających się w pracy zawodowej, a więc tych, którzy gwa rantują, że złożone na ich naukę pieniądze nie będą zmarnowane.

Postulatów, z którymi pojadą na Zjazd delegaci ZMS z Wielkopolski, jest więcej. Z tej właśnie dziedziny również. Zmierzają one m.in. do po prawy atmosfery w zakładach pracy, która by stworzyła warunki pełnej życzliwości i pomocy wobec uczących się. W takich dopiero warun kach można być pewnym, że wszelkie ulgi i uprawnienia, przewidzia ne przez prawo, będą wobec uczących się stosowane. Niestety, jak wskazu ją badania przeprowadzone przez ZMS, w większości zakładów pracy administracja nie w pełni realizuje ustawową pomoc dla uczących się, wyrządzając tym szkodę zaintereso wany — pracownikom, jak również szkody gospodarce socjalistycznej.

Kiedy nie można we wszystkich wy padkach liczyć na dobrą wolę, wówczas rysuje się konieczność innego sformułowania przepisów. Wśród licznych postulatów ZMS w tej dzie dzinie są więc i takie, które zmierza ją do nowego ujęcia np. sprawy urlo pów szkoleniowych (idzie o to, by za miast formuły, że można udzielić urlo pu od 7 do 21 dni stwierdzić, że na leży się 21 dni urlopu).

Dotykamy tu innej sprawy, którą ZMS zajmuje się bardzo gorliwie, mianowicie tzw. adaptacji społeczno-zawodowej. Jest to przede wszystkim kwestia sposobu przyjmowania młodego pracownika do zakładu, kwe stia jaką zapewni się mu opiekę w pierwszych dniach, czy młody czło wiek błąka się na początku bezradny, czy też od razu włącza się czynnie w fabryczny organizm. Wszystko to wpływa na jego przyszły stosunek do zakładu, na jego przywiązanie do niego i ewentualne przyszłe zmiany pracy.

Wiemy o tym wszyscy, rosną w nas samych ambitne wymagania, wiele z nich ma nawet oblicze żą dań. Skala tych wymagań posze rza się w miarę, jak wzrasta się przeświadczenie o ogromnych mo żliwościach ludzkich, o nieograni czonych szansach ludzkiego umy słu, techniki i wiedzy.

Ale jednocześnie nic z aktualno ści nie straciła znana bajeczka o Kubie i Bogu, czy jak kto wo li — o miłości bez wzajemności, której pointa jest bardzo prosta: MY — obywatele — mamy coraz większe wymagania, ale ONI — dostawcy dóbr kulturalnych i konsumpcyjnych, czy usług, zda ją się tego nie dostrzegać.

W Poznaniu działa więc Zakład Odbioru Jakościowego Towarów, jako placówka Poznańskiego Zjednoczenia Przedsiębiorstw Handlowych. Takie sobie ucho igielne, przez które przechodzą po drodze do sklepów niektóre towary; wyraz zbiorowego zabez pieczenia przed nieumiejętnością producentów. ZOJ działa bardzo skutecznie, chociaż na stosunko wo wąskim froncie.

Oto w ciągu trzech kwartałów 1966 roku Zakład zareklamował

Przypomnieć tu trzeba, że każde przyjęcie i zwolnienie kosztuje, jak obliczono 3 000 zł. A przecież właśnie wielu młodych często się zwalnia. Wiadomo, młodem łatwiej, nie ma obowiązków rodzinnych, nie zapu ścił jeszcze nigdzie korzeni i swobod nie szuka warunków najlepszych. Dlatego na młodych trzeba szczegól nie zwrócić uwagę. I wiele ma tu do zrobienia ZMS. Po prostu każdy no wo przyjęty powinien znaleźć w zakła dzie swojego opiekuna z ramienia za kładowej organizacji ZMS, takiego, który go wprowadzi w zakład i zało gę, który pomoże, objaśni, przetrze ścieżki.

Na tym jednak nie można poprze stać. Tym młodym, którzy się ustabi lizowali, trzeba w zakładzie otwierać perspektywy działania. Idzie tu o roz zwój techniki, o racjonalizację i wy nalazczość, o poprawę organizacji pracy. Trzeba zadbać o ambitne za da nia, bo tylko takie porywają ambity nych ludzi.

ZMS działa na szerokim polu. W woj. poznańskim skupia przecież w szeregach ponad 85 000 członków, czyli 30 procent całej młodzieży w tzw. wieku organizacyjnym (od 16 do 28 roku życia). Jeśli zaś idzie o młodzież w wieku 16—26 lat, to do ZMS należy 34 procent, a w wieku 16—20 lat 43 procent. ZMS w Wielkopolsce należy do czołowych organizacji wo jewódzkich w kraju. Za cel stawia so bie objęcie członkostwem 50 pro cent młodzieży w wieku 16—25 lat. Ale nie na siłę. ZMS nie chce być ani organizacją masową która by po wstawała w wyniku mechanicznego naboru, ani też elitarną organizacją kadrową.

Lecz rozmieszczenie organizacji w województwie nie jest najlepsze. W Poznaniu znajduje się 1/3 członków. Są organizacje powiatowe, liczące po kilkuset członków i inne, grupują ce po kilka tysięcy. Zależy to od stop nia rozwoju gospodarczego, od uprzemysłowienia powiatów, ale tak że od aktywności samego ZMS. Istnie je stale potrzeba zwiększenia oddzia ływania ZMS w środowisku młodzie ży robotniczej, wśród młodzieży pra cującej w ogóle. To są także zada nia, od których zależy skuteczność programu ZMS. Programu, skierowa nemu ku wszystkim młodym lu dziom, bez względu na przynależ ność organizacyjną.

Zbigniew Mika

Nekrolog tandety

menta, który nadal, coraz natarczywiej, domaga się towaru z li terką Q^{*)}.

Znak Q to symbol naszych cza sów w całym wysoko rozwiniętym świecie. Byłbym nawet skłonny twierdzić, że nastąpiła no wa era: „era najwyższej jako ści”. Znak Q musi mieć każdy ele ment pojazdu kosmicznego, bez obrabiarki z symbolem Q nie może być mowy o wysokiej wy dańności pracy, Q jest niezbędne na każdym worku surowca, Q po winno charakteryzować pracę każdego inżyniera, robotnika, urzędnika. Nie ma w gruncie rze czy dziedziny, gdzie by jakość nie odgrywała dominującej roli, nie decydowała o efektach ludzkiej działalności.

Ten chroniczny brak zdolności dostrzegania, np. ze strony przemysłu, znalazł na szczęście liczne substytucje. Wprawdzie nie dość liczne, by nas zupełnie ochronić od tandety, ale dobre i to (oczywiście na początek).

W Poznaniu działa więc Zakład Odbioru Jakościowego Towarów, jako placówka Poznańskiego Zjednoczenia Przedsiębiorstw Handlowych. Takie sobie ucho igielne, przez które przechodzą po drodze do sklepów niektóre towary; wyraz zbiorowego zabez pieczenia przed nieumiejętnością producentów. ZOJ działa bardzo skutecznie, chociaż na stosunko wo wąskim froncie.

Oto w ciągu trzech kwartałów 1966 roku Zakład zareklamował

dostawy towarów włókienniczych i odzieżowych wartości 6 mln zł, w rok później w tymże okresie, wartość reklamacji wzrosła do 8 mln zł. W obuwii i wyrobach skórzanych trzeba było zakwestio nować dostawy wartości 884 tys. zł (1966) i 1 831 tys. zł (1967).

Same tylko Średzkie Zakłady Przemysłu Odzieżowego próbowa ły nas obdarzyć w omawianym czasie marnym „kwalitetem” o dzienia na sumę 284 tys. i 370 tys. zł. Ze Spółdzielni Pracy „Po kój” w Poznaniu podrucono han dlowi gorsze gatunkowo wyroby na 280 tys. zł w 1966 i już na 629 tys. zł w 1967. Postępek, co?

Parę przykładów, parę kropel w morzu niesolidnego wytwarza nia. Morze to jest wszakże wiel kie, a sieć Zakładu Odbioru Ja kościowego — miniaturowa i rzadka. Choć więc chył głowę przed działalnością ZOJ, który tak dzielnie tępi tandetę, nie do wierzam skuteczności tych zma gań. Nie wierzę bowiem w substy tuty. Wprawdzie można już wła sne serce zastąpić cudzym, nie da się do końca zlikwidować bra korobstwa, przy pomocy urzędu. Ten zresztą tylko wykrywa złe produkowane wyroby, a przecież chodzi o to by je lepiej produ wać.

Mimo to jestem pełen optymiz mu, że fala partactwa jednak będzie maleć. Musi maleć w mia rę rosnących wymagań, nie tylko ze strony konsumentów. Przezor ni zabrali się już do roboty, by sprostać aktualnym i przyszłym żądaniom klientów; pozostałym przypomnieć trzeba, że nie ma widoków powodzenia dla ignoru jących znak Q. I to nie tylko w produkcji.

^{*)} Międzynarodowy znak najwyższej jakości: tu symbol jakości w ogóle.

Wagon restauracyjny był o tej porze pusty. Tylko jeden stolik zajmowało trzech mężczyzn. Rozmawiali głośno. Między nimi stały butelki. Rozmowa podróżnych nie przeskądzała mi. Docierała do mnie raczej jako hałas.

Ale w pewnym momencie usłyszałem:

— Rosen... Rosen... Rosen... Blum. Dwa asy.

Spojrzałem. Grali w karty.

— Który? — zapytał wysoki blondyn.

— Rosen... Rosen... Rosengarten. Zimmer vierzig. Nein! Ein und vierzig.

— Rosengarten?

— Albrecht Strasse. Zimmer ein und vierzig — odparł siedzący do mnie tyłem. — Drugie piętro. Trzeci korytarz w prawo.

Blondyn spojrzał w karty.

— Heinz, słowo? — zapytał nie podnosząc głowy.

— Słowo cenie nade wszystko — oznajmił siedzący tyłem.

Był wyraźnie urażony.

— Gdzie płatne? — zapytał rzeczowo blondyn.

— Jutro trzecia po południu, hotel „Bon Repos”.

— Kto płaci? — blondyn przez cały czas nie odrywał oczu od kart.

— Wdowa — powiedział Heinz.

Trzeci tegi, senny brunet rozśmiał się. Nalał wódki. Podniósł.

— Prosił! — zawołał.

— Na gut — powiedział wolno blondyn i wypił.

Spojrzał na Heinza. Rozłożył karty na stole. Palcami prawej ręki zaczął wystukiwać po obrusie jakąś melodię.

Heinz westchnął.

Na stolikach zapalono lampki. Małe różowe abażurki rzucały jasne koła światła na serwety. W wagonie zrobiło się przytulnie i uroczyście. Na dworze mroziło się na dobre. Do restauracyjnego nikt nie zaglądał. Pociąg widać biegł pusty.

Nieliczni podróżni drzemali pewnie w swoich przedziałach.

— Idziemy — powiedział Heinz — Chce mi się spać.

Wstali. Ruszyli do drzwi. Ostatni szedł Heinz. Obejrzał się na mnie.

Miał minę, jakby mnie dopiero teraz zobaczył. W drzwiach blondyn się odwrócił. Powiedział do Heinza:

— Nic się nie martw. Nie powiem ani słowa.

— Komu?

— Grubaskowi.

— Czy może masz na myśli Brigadefuehrera Muellera? — zapytał Heinz.

— Zgadza się.

— To ładnie z twojej strony.

— Co ładnie? — nie rozumiał blondyn.

— Że nie powiesz.

Blondyn zatrzymał się.

— A hasło? — zapytał.

— Wdowa płaci gotówką — odparł Heinz. — To nasza prywatna sprawa.

— Ale co z hasłem? — upierał się blondyn.

— Co cię to obchodzi? Nie nasza forsa.

— Ale kto dowie się tę resztę?

— Ona nie zna.

— Może zna.

— My to załatwimy — powiedział Heinz. kiwnąwszy głową w stronę tego trzeciego.

— Przedtem? — chciał wiedzieć blondyn.

— Potem — zdecydował Heinz.

— A może ty znasz cały? — powiedział nagle podejrzanie blondyn.

— Co, cały?

— Cały kod. Byłeś przecież przy tym... Tam.

— On nie znał albo nie pamiętał całego — Heinz starał się nadać swojemu głosowi budzącą zaufanie poufność. — Gdyby znał, powiedział by na pewno. Heinziowi, bracie, możesz wierzyć.

Blondyn obrzucił go krótkim spojrzeniem.

— Na...? — zapytał.

Był wyraźnie nietrzeźwy.

— Kod nie ci nie da — powiedział Heinz — Grubasek już by cię znalazł. Nawet w Paragwaju.

Poklepał blondyna po plecach.

— Da, nie da, ale chcę wiedzieć jak jest.

— Tę sprawę załatwimy my — stwierdził sucho Heinz.

Było widać, że blondyn dotarł właśnie do kresu jego, Heinza, wytrzymałości.

— W porządku — powiedział pojednawczo blondyn.

— Mam nadzieję.

— Już nie mieszam.

— To bardzo rozsądnie z twojej strony — zauważył Heinz.

— W porządku — powiedział pojednawczo blondyn.

— Mam nadzieję.

— Już nie mieszam.

— To bardzo rozsądnie z twojej strony — zauważył Heinz.

Bogdan Rutha

GRA

Widać było, że blondyn nie znał całej sprawy. Tamci dwaj byli od tego. Blondyn był pewnie niższy rangą.

Ruszył do drzwi wagonu.

— A jak znajdziemy tego... syna? — zatrzymał się jeszcze.

— Ktorego? — chciał wiedzieć Heinz.

— Tego, który ma resztę hasła.

Oczy miał mętne i podejrzliwe. Lekko się chwiało.

— Znajdziemy, znajdziemy... — popychał go Heinz.

— A nie wykiwacie mnie?

— Stul pysk. Skąd wiesz, że tu gdzie nie siedzisz?

Było jasne, że Heinz miał dosyć. Blondyn dawno już przekroczył to, co Heinz był w stanie znieść. Jeżeli ciągle jeszcze zachowywał się spokojnie, to tylko dla czegoś, co miało mu z nadwyżką wynagrodzić ten nadludzki wysiłek.

Blondyn wyczuł to.

— W porządku — powiedział. — Umowa stoi.

Ruszył do drzwi. Usłyszał kroki na żelaznym pomoście łączącym wagony.

— Raz w życiu człowiek dostanie dobrą kartę... — dobiegł mnie dudniący między wagonami głos blondyna. Potem jego śmiech. Trochę zbyt głośny.

— Dobrą, mówisz? — zauważył idący za nim Heinz.

— Co? — zawołał blondyn już z drugiego wagonu.

Trzeci Niemiec wyszedł ostatni. Wstałem. Poszedłem za nimi. Miałem jeden wagon. Usłyszałem ich przekraczających pomost między następnym. Nie mogłem zrozumieć co mówili. Koła pędzącego pociągu stuknęły głośno. Raz po raz zderzały się metalowe brzozy harmonijki osłaniającej przeście między pulmanami.

Przyspieszyłem kroku.

Biełem już przy końcu wagonu, kiedy przez hałas biegnącego pociągu usłyszałem uderzenie. Jakby ktoś uderzył czymś o wewnętrzna ścianę wagonu ale zaraz zdałem sobie spr-

wę, że musiało to być co innego, bo uderzenie było głuche i nie miało żadnego rezonansu.

W kilka sekund potem usłyszałem szybkie tupnięcia, potem kroki i trzaśnięcie klamką.

Poczułem przeciąg. Zaświstało mi koło uszu. Wiatr porwał mi włosy. Stuk kół na chwilę wzmożył się jeszcze. Na zewnątrz, zobaczyłem to w szparze między niedomkniętymi brzegami harmonijki, coś mignęło.

Usłyszałem trzaśnięcie drzwi. Przeciąg ustał. Hałas pociągu uciszył się. Cofnąłem się.

Po chwili ostrożnie włożyłem głowę w czarny hałasujący tunel. Usłyszałem oddalający się głos, który mój był:

— ... miał przy sobie!

— To nic — odpowiedział drugi.

Zawróciłem.

Poszedłem do swojego przedziału. Po drodze mijając wagon restauracyjny dopiero teraz spostrzegłem, że należał nie do Vagons Lits Cook jak zazwyczaj na tej linii, lecz do niemieckiego towarzystwa „Mitropa”.

Z sąsiednim sypialnym biegł pewnie przez Szwajcarię tranzytem.

Zanim w swoim przedziale usiadłem na dobre i zdążyłem przypomnieć sobie wszystko po kolei, by zrozumieć to, czego przed momentem byłem świadkiem, w drzwiach stanęli dwaj mężczyźni.

Był to Heinz i ten trzeci. Ręce trzy mali w zewnętrznych kieszeniach marynarek.

— Gruessen Gott — powiedział Heinz — Excuse me — skłonił się z przesadną uprzejmością. — Czy to pan siedział przed chwilą w „Mitropie”?

Zrobiłem duże zdziwienie oczy. Po tem zmarszczyłem brwi. Zamrugałem powiekami jak człowiek zajęty swoimi sprawami, nagle obudzony z zamyślenia i zmuszony do powrotu do rzeczywistości.

— Taak — odparłem, jakbym sobie w tej chwili właśnie o tym przypomniał.

— Kłega chciałby wiedzieć — powiedział patrząc mi w oczy — czy wdział pan tych trzech facetów, którzy siedzieli naprzeciw pana i pili sznapsa.

Ten jego głos był poufale uprzejmy. Zrobiło mi się zimno.

Zmarszczyłem się jeszcze bardziej. Po chwili wysiłku umysłowego, który musiał odbić się na mojej twarzy, odrzekłem:

— Widziałem dwóch. Jeżeli się nie mylę. — Zgadza się przyznał Heinz.

Pan się nie myli. Po tym cholernym xeresie on zawsze widzi jednego za dużo — wskazał głową na stojącego za nim towarzysza.

Dwa dni potem — było to w Mar-sylii — przeczytałem w gazecie, że w Szwajcarii, w kantonie Graubunden, na linii Andermatt-Chur, w pobliżu miejscowości S., leżącej w niewielkiej odległości od przełęczy Saint Gothard, znaleziono na dnie strumienia płynącego w głębokim jarze zwłoki obywatela Paragwaju — Alvareza, Manuela, Gomeza Diaza del Castillo z Asuncion.

Tak były zmasakrowane, że gdyby nie znaleziony przy nich paszport, nigdy nie udało by się ich zidentyfikować. Zabity spadł najpewniej z sąsiedniej ściany skalnej. Przepaść w tym miejscu ma co najmniej trzy sta metrów. Jeszcze jedna ofiara gór. Jedno tylko może wydawać się dziwne — dodawała gazeta. — Turysta miał na sobie zwykłe ubranie i zwyczajne spacerowe buty, w jakich nikt przy zdrowych zmysłach nie wychodził z tej porze roku w góry.

„Nie umiem żyć bez malarstwa”

CIĘKAWI LUDZIE
CIĘKAWA SPRAWA

Kiedy mowa o malarzu Lenicy, pierwsze pytanie brzmi: który? Alfred czy Jan? Senior czy junior? Bo Leniców jest dwóch: ojciec i syn, obydwaj malarze, obydwaj sławni, choć każdy uprawia inny gatunek malarstwa, Lenica — senior wierny jest malarstwu abstrakcyjnemu, Lenica — junior jest przede wszystkim grafikiem, znakomitym plakatistą i twórcą mądrych, ironicznych filmów rysunkowych. Jeżeli jeszcze dodać, że malarstwem para się: Danuta — żona Tadeusza Konwickiego, córka Alfreda a siostra Jana, to będzie my mieli obraz prawdziwie artystycznej rodziny. Tu zaś rzecz będzie tylko o bardzo czarodziejskim malarstwie pana Alfreda.

— Urodziłem się dawno temu, w ubiegłym stuleciu. Co prawda nudi sam jego koniec, w 1899 r., w Pabianicach. Ojciec mój był przedalnikiem w fabryce Krusche i Endera i zabawiał mnie często, rysując różne zwierzęta i przedmioty. Od niego pewnie przejąłem zamiłowanie do malarstwa.

— A więc od dzieciństwa jest pan wiernej dyscyplinie sztuki: malarstwa...

— Nie było to takie proste, bo interesowały mnie w równym stopniu muzyka i aktorstwo. Podczas wojny w Mielcu utrzymywałem się grając na skrzypcach. Potem w Krakowie grałem w Filharmonii. W końcu mój głód sztuki skrytykował się i zostałem przy malarstwie.

— Mówi pan: głód sztuki. Na czym to polega?

— Na tym, że nawet w okresach, kiedy nie mogłem malować, brałem do rąk farby, wyciskałem tubki, miętosilem je, wachlałem, formowałem bezkształtną masę. Nie umiem żyć bez malarstwa. Nawet kiedy studiowałem ekonomię polityczną na Uniwersytecie Poznańskim, uczyłem się muzyki i zapełniałem nuty rysunkami.

— Jeden z krytyków napisał o pana sztuce, że jest w niej „groza apokalipsy, uroda kwietnej eksplozji, żywiołowa ka-tastrofa lub spokój flory na morskim dnie”. Ja bym dorzuciła, że jest w tym malarstwie coś co się kojarzy z żywą plazmą ludzką, że choć ani jedna forma nie jest realna, to wszystkie przypominają przyrodę; nie taką jaką wi-

dzimy, ale taką jaką czujemy w naszej podświadomości.

— Myślę, że malarstwo moje jest wynikiem przeżyć podświadomych, dlatego jestem właśnie malarzem surrealistycznym, lub nadrealistycznym, jak wolą niektórzy. Bez wątpienia najbliżsi są mi tacy malarze jak Max Ernst, Yves Tanguy, Miró.

— Krytycy określają pana obrazy, jako „odbijanie się sfery emocjonalnej” jako „poetycką wizję irracjonalizmu”. Inni piszą, że w malarstwie swym zatrzymuje pan ręką „wymykające się spod kontroli świadomości obrazy”. Jak jest naprawdę?

— Recenzent często widzi więcej niż sam artysta, który tylko czuje, że ręka jest prowadzona w ten czy inny sposób. W pewnym sensie maluje się automatycznie. Ma się do dyspozycji płótno i farby, tak jak pianista ma do dyspozycji klawisze. Ale ton jaki z tego samego fortepianu wydobywa każdy artysta jest przecież inny. To samo z malarzem. Istotny jest ten nurt podświadomości.

— Jak wygląda pana proces twórczy?

— To tajemnica każdego artysty. Może najkrócej można by powiedzieć: trzeba mieć serce i wyobraźnię.

— Co pan chce osiągnąć u widza?

— Przede wszystkim: rozbudzić jego wyobraźnię.

— Wydaje mi się, że ten cel osiąga pan na pewno, bo od chwili, kiedy siedzę tu w pokoju i patrzę na te barwne plamy, wydaje mi się, że oglądam pod mikroskopem jakieś żywe fantazyjne komórki lub znajduję się w świecie tropikalnych owadów, że... Uruchomił pan mechanizm swojej podświadomości. Czy sądzi pan jednak, że tego rodzaju malarstwo jest zrozumiałe dla szerokiego odbiorcy?

— Jak najbardziej. Za parę tygodni mam wystawę w Pabianicach, moim mieście rodzinnym. Jestem najzupełniej pewny, że zostanie tam dobrze zrozumiany. Ta konwencja nie budzi już dziś zastrzeżeń, nie szokuje nikogo. Telewizja, kino, nowe formy w technice, plakat, wszystko to zbliżyło sztukę do widza nawet nieprzygotowanego.

— Czy nie sądzi pan, że w malarstwie abstrakcyjnym granica między dobrym a złym, jest niezwykle wąska?

— Wiem tylko jedno, że malarstwo typu ładnego jest złe. Malarstwo ciekawe jest dobre.

Rozmawiała:

KATARZYNA BAŁEY

W podwójnej służbie

Dokończenie ze str. 1

działacza Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów, a w latach 1941—42 współpracownika lwowskiego gestapo. „Kultura” popularizowała również (lata 1959—60) prace „wodza” OUN Stefana Bandery w których domagał się on m.in. rzućenia bomb atomowych na ZSRR. W 6 numerze „Kultury” z 1965 r. pojawiły się znów wspomnienia zbrodniarza wojennego, generała Pawła Szandruka, dowódcy 14 dywizji SS-Galizien. Jerzy Giedroyc reklamował go jako

„wybitnego dowódcę” z lat II wojny światowej.

Dwudziesty już rok działalności Jerzego Giedroycia, jako naczelnego redaktora „Kultury” wypełnia bardzo aktywna działalność skierowana przeciwko własnej ojczyźnie oraz przeciwko ZSRR i wszystkim siłom postępowym. Motorem tej działalności jest fanatyczny antykomunizm, rozpatrywany z niemieckiego podwórka. To właśnie w imię tej postawy konstruuje Giedroyc dla swego ośrodka publicystyczno-wydawniczego, osobliwe koncepcje historyzoficzne stanowiące mieszankę antykomunizmu z filogermanizmem.

WOJCIECH SULEWSKI



Czy uczeni zdają sobie zawsze sprawę z tego co robią, skoro każdy wynalazek — jak pokazuje praktyka — można spożytkować zarówno dla dobra jak i dla zła? Najbardziej znanym przykładem jest energia atomowa. Ale sprawa nie dotyczy tylko bomby atomowej. I dlatego „Argumenty” zdecydowały otworzyć swoje łamy dla dyskusji na temat: czy w ogóle i do jakiego stopnia pracownicy nauki mogą być obciążeni odpowiedzialnością za społeczne skutki swojej pracy i swoich koncepcji? Redakcja za prasą do zabierania głosu na ten temat przedstawiciele nauki oraz wszystkich tych, którzy pragnęliby podzielić się swoimi przemyśleniami w tym zakresie. Na początku „Argumenty” publikują trzy artykuły opatrzone tytułem — hasłem:

ODPOWIEDZIALNOŚĆ UCZONYCH.

„Dotychczas większość z nas sądziła i jeszcze sądzi — pisze prof. dr STANI-

SLAW SKOWRON — iż groźne potrafią być jedynie zastosowania fizyki jądrowej, tymczasem faktycznie znacznie poważniejsze zagrożenie wyłania się z najnowszych odkryć biologii. Iacze? Ponieważ są znacznie mniej spopularyzowane od tamtych, atomowych i dotyczą spraw, mających się rozgrywać głęboko we wnętrzu naszych organizmów. Chodzi mi tu konkretnie o niektóre eksperymenty neurofizjologii, która za pomocą pozornie niewinnych zabiegów, uczy się zmieniać osobowość człowieka. Na razie ta nauka odbywa się na zwierzętach. Drażnienie pewnych ośrodków nerwowych — powiedzmy szczerą — sprawia, że wpada on w trans i największą przyczyną odnajduje w czynności podsuwanej mu przez badacza. Badacz staje się w tych warunkach, panem jego zmysłów. Narkotyki w norównaniu z tą zabawą wydają się dziecinną igraszką (...). Na razie w tej dziedzinie idziemy na ślepo. Nawet jednak wówczas, gdy uda się zmieniać osobowość dla jej trwałego ulepszenia, grozi katastrofa. Co bowiem dziś — ważamy za pozytywne i celowe, za jakiś czas stać się może negatywne i bezsensowne. Inżynieria genetyczna, jak czasem określa się nowe dążenia biologii, ma wszelkie szanse pogrzebania... indywidualności ludzkiej. Czy oznacza to konieczność powstrzymania rozwoju nauk biologicznych? Nie ma na to sposobu. Trzeba wobec tego głośno mówić, czym grozi inżynieria genetyczna. (...). Więć: nie hamować badań, wymagać od uczonych głębszej informacji i ostrzeżeń, tylko bowiem wówczas nie odpowiada on za

swoje dzieło, kiedy tworzy je pod presją przemocy.”

Oto wyrazisty przykład, jak różnie wykorzystywać można osiągnięcia nauki, a zarazem wniosek o potrzebie publicznej go wyjaśniania przez uczonych ich osobistego stosunku do możliwości zastoso-wania odkryć i wynalazków. Do tej sprawy nawiązuje w swojej wypowiedzi na tych samych łamach także Adam Hollanek.

Twórca bomby atomowej Robert Oppenheimer — przypomina Hollanek — do końca życia mijał się, nie potrafiąc w sobie rozwiązać konfliktu.

„Iluż uczonych przeżywa podobne rozterki! — ale czy to ich usprawiedliwia — pyta autor? Czy uprawnienia do zdjęcia z nich ciężaru odpowiedzialności, ciężaru zresztą o tyle pomniejszonego i trudnego do identyfikacji, że rozłożonego na szereg jednostek w zespołach, zespołach dokonujących odkryć, wdrażających je i w końcu wykorzystujących w praktyce?”

W podziale na zespoły tym bardziej może się zatrać poczucie odpowiedzialności i winy, odpowiedzialność sta się się bowiem już nie jednostkowa lecz zespołowa. I to z kolei nakłada na uczonych chyba w większym niż kiedykolwiek stopniu obowiązek mówienia o tym, do jakich celów można wykorzystywać osiągnięcia. Trzeba się więc zgodzić z poglądem Hollanka, który tak pisze:

„Nie bez głębszej przyczyny zadaje się też coraz częściej uczonym pytania nie tylko z zakresu ich specjalności: pyta się ich o poglądy, idee, życie osobiste. Bierze się to chyba nie z samej chęci wykorzystania autorytetów do poparcia takich czy innych przedsięwzięć, jakkolwiek i tak nieraz bywa; chodzi jednak przede wszystkim o spełnienie pragnień, tzw. zwykłych ludzi, tej rzadziej niewłaściwie nazwanej, którzy pragną zorientować się — co myśla uczeni? — komu służą? — komu i dla jakich celów pragną oddawać swe prace? I na przedstawianiu sytuacji — jak najszerzej pojętej — polega zadanie popularyzacji nauki, nie zaś na naiwnym zachęty-staniu się nowinkami lub na suchym, beznamiętnym zestawianiu faktów o pochodzie odkryć.”

PO KIELISKU

Temat to, niestety, zawsze aktualny. Statystycy obliczają, że spożycie alkoholu (w przeliczeniu na 100-procentowy spirytus) na jednego mieszkańca Polski wynosiło w roku 1966 — 2,8 l. Ale to nie wszystko. Bo jeśli wliczyć także konsumpcję piwa i win (też w przeliczeniu na 100-procentowy alkohol), to okaże się, że statystyczny Polak spożywa co najmniej 4,1 l. czystego spirytusu. Szacunkowo obliczono, że od 500 do 700 tysięcy mężczyzn w wieku pełnej zdolności do pracy znajduje się u nas codziennie w stanie nietrzeźwym!

Wiesław Wernic, który podaje te liczby na łamach „Tygodnika Demokratyz-

nego”, przytacza też wymowne zestawienie: dochody naszego monopolu spirytusowego oblicza się na 20 miliardów zł (dane „Głosu Pracy” z 1966 r.) a globalna kwota strat w wyniku alkoholowej absencji w pracy, obniżonej wydajności pracy i wzmożonej wypadkowości spowodowanej wódką sięga 30 miliardów zł rocznie.

Skutki picia alkoholu są coraz bardziej alarmujące, czego dowodem jest m.in. ustawa, uchwalona w tych dniach przez Sejm, zaostrzająca represje wobec tych, którzy nie przybywają do pracy z powodu pijaństwa. A tymczasem rady narodowe w większości województw coraz bardziej redukują liczby dni bezalkoholowych. Wernic słusznie nawołuje do zaostrzenia obecnych przepisów w tej sprawie. Przemawiają za tym dwa ważne argumenty: po pierwsze — najmniejsze spożycie spirytusu i wódek notuje się w woj. rzeszowskim, gdzie Prezydium WRN radykalnie zmniejszyło liczbę sklepów monopolowych i zakładów gastronomicznych prowadzących wyszynk; po drugie — rzekome niebezpieczeństwo wzrostu liczby tajnych bimbrów w przypadku zmniejszenia liczby sklepów monopolowych (takim argumentem często serwują władze terenowe), jest nikt, jako że bimbrownie istnieją i tam, gdzie sklepów monopolowych jest pod dostatkiem.

Zatem rzeczywiście najwyższy czas zabrać się do radykalnego zmniejszenia liczby alkoholowych pijalni i sklepów monopolowych!

LEKTOR